

w: Joanna Marszałek-Kawa, Mariusz Popławski (red.) *Spółeczeństwo i polityka. Doświadczenia i wyzwania*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 15-26.

Marek Szulakiewicz

Uniwersytet Mikołaja Kopernika

Filozofia ataraksji. Pochwała pogody ducha Dostojnego Jubilata

Radość serca – to życie człowieka,
a wesolość męża przedłuża dni jego.

Mdr 31, 22

Życie Profesora – tak jak każdego człowieka – może być mierzone różnymi miarami. Najprostszą z nich jest ocena dorobku naukowego, jego roli w postępie poznania, doniosłość odkryć itp. Środowisko uczonych wypracowało wiele zasad takich miar i ocen, w których wartościuje się zaangażowanie, strategie badawcze, posiadaną wiedzę, liczne umiejętności, wreszcie, rezultaty badań. Profesora ocenia się tu ze względu na – jak mówił Florian Znaniecki – poszukiwania przez niego nieznanych faktów. I im więcej takich „nieznanych faktów” wskaże i opíše, tym ocena jest wyższa. Niewątpliwie podkreśla się w nich „sztukę” dobrze prowadzonych badań. Jednocześnie jest to trudna droga i „trudna sztuka”. Charakteryzuje się ona zawsze swoistym byciem w drodze, krążeniem między światami, ciągłym odnajdywaniem i zarazem gubieniem, i jest jakimś brakiem zatrzymania się i zadowolenia. W tym sensie każdy profesor-uczony jest zawsze w drodze, a nawet powinniśmy mówić o swoistym „profesorskim zagubieniu”, jako o uczestniczeniu w wielkim zadaniu poznawania świata, które nigdy nie zostanie spełnione i urzeczywistnione.

Rzadko jednak wśród tych „miar” dostrzec można docenienie egzystencjalnego wymiaru „bycia profesorem”. Zapomina się (lub pomija) to, że wiedza jest (może być) wartościowa nie tylko w tym, że przyczynia się do lepszego poznania

świata, ale również jest wartościowa ze względu na to, co sprawia ona (co czyni) z samym człowiekiem, który jej poszukuje. Jej zadaniem jest więc nie tylko przyczynianie się do poznawania świata, lecz również prowadzenie do naprawiania naszych serc. Zadowolenie wynikające z doniosłości prowadzonych badań, sukcesy w świecie nauki, sława i pozycja uczonego, nie powinny przysłaniać tego, co też ta wiedza (i jej poszukiwanie) uczyniła z nami samymi. Jeśli pominiemy tę drugą miarę lub gdy stwierdzimy, że „niczego nie uczyniła”, to wiedza staje się tylko umiejętnością, najlepszymi uczonymi będą zaś ci, którzy zdobyli mistrzowskie umiejętności i potrafili „zwrócić na siebie uwagę” w plątaninie naukowych dróg.

Już Grecy jednak wiedzieli, że skutek wewnętrzny poznania (przyjaźń mądrości) jest o wiele ważniejszy, niż zewnętrzne efekty takich badań. Uprawianie nauki jest nie tylko sprawą pieniędzy, polityki i umiejętności, lecz jest również sprawą egzystencjalną, którą docenić należy nie tylko w procesie poszukiwania wiedzy, lecz również w procesie jej przekazywania. To znaczy, nie tylko uczonego w trakcie tych poszukiwań ma stawać się lepszym człowiekiem, ale również uczeń i student, który jest tej wiedzy odbiorcą. Dobrze jest zatem, gdy wiedza staje się nie tylko drogą do poznania świata, lecz również narzędziem do własnej przemiany uczonego/profesor. Cechą dobrego profesora jest nie tylko to, że potrafi uprawiać naukę, i czyni to bardzo dobrze, lecz również to, że w tym procesie poznania sam staje się lepszy. Słowem, mierzyć życie profesora można i trzeba zawsze na dwa sposoby: podkreślać należy to, jak uczestniczy on w poznawaniu świata i jakich sukcesów doświadczył na tej drodze, ale również i to, jak w tym procesie poznania formował/uformował swój charakter, stając się lepszym człowiekiem. Nasz charakter bowiem idzie za naszymi myślami, poznawanie świata zaś jest procesem formacyjnym, który zmierza do umocnienia człowieczeństwa. Wszak Prawdy poszukujemy po to, aby na niej zbudować swoje życie.

Greckie słowo χαρακτήρας (charakter) oznacza również „piętno”, „odbicie”. W przypadku uczonego/profesor możemy powiedzieć, że prowadzone przez niego badania „odbijają” się w jakimś stopniu w nim samym, oddziałują na jego życie i postawy życiowe. Nasz Jubilat ma niewątpliwie zasługi w rozwoju i przekazywaniu wiedzy, jest znakomitym badaczem, bardzo lubianym nauczycielem i wychowawcą, który poszukiwał i przekazywał prawdy o świecie i – wychowując – przekazywał również

prawdy o wartościach. Co uczynił On jednak ze sobą przez tyle lat pracy w środowisku akademickim, prowadząc badania i rozwiązując trudne problemy poznania? Jakim stał się człowiekiem dzięki uprawianiu nauki? Jaki charakter zbudował poświęcając swe życie nauce i poznaniu?

Na te pytania On sam najlepiej jest w stanie odpowiedzieć. Ale jakieś zręby tej odpowiedzi możemy stworzyć obserwując i spotykając Jubilata w świecie nauki, ale też uczestnicząc z nim w codziennym życiu. Gdyż tam właśnie, w spotkaniu Jubilata ze światem, z drugim człowiekiem, w jego zachowaniu i postawach ujawnia się odpowiedź na to pytanie: Co uczynił On ze sobą w czasie swej drogi naukowej?

Każde spotkanie z profesorem Lutrzykowskim wskazuje, że jest on człowiekiem pogody ducha, przepelnionym radością (uśmiechem), opanowaniem i spokojem. I wszystko to wydaje się nieodłącznym towarzyszem Jego życia. Nigdy nie widziano, aby podnosił głos lub unosił się gniewem. Postawa ta, którą Grecy nazywali „ataraksją” (αταραξία), w języku polskim wiązana jest z pojęciem „pogody ducha” nie bez przyczyny. Z tym pojęciem wiąże się jakaś harmonia i czystość sposobu odczuwania świata, sytuacji i drugiego człowieka. Pogoda ducha jest bezgranicznym otwarciem na rzeczywistość i wiarygodność własnych wyborów. Człowiek wyposażony w ten naturalny talent pogody ducha ma więcej szans, aby być dobrym profesorem. Ale też – w przypadku naszego Jubilata – prowadzone przez lata badania naukowe wyraźnie przyczyniły się do tego, że właśnie pogoda ducha, łagodzenie sporów i konfliktów, a nie chronienie się w prywatny świat i kreowanie niepotrzebnych napięć, stały się tak wyraźną i czytelną cechą jego charakteru. I to tak bardzo, że we wszystkim, co robi ujawnia się ten podstawowy Jego stosunek do życia, czy też zasadnicza postawa wobec życia, człowieka i samego istnienia. Potrafi On cieszyć się życiem i ukazywać światu i innym – przy każdym spotkaniu – jakąś wewnętrzną równowagę między emocjami i umysłem.

Zabawa życiem (i w życiu) a pogoda ducha

Trzeba jednak powiedzieć, że pogoda ducha, szczególnie we współczesnej kulturze, przybiera często złą formę. Wielu wydaje się, że jest ona tym samym, co bez troskie bawienie się życiem i światem. Kultura dzisiejsza łądzi człowieka, że bierze on udział tylko w jakimś radosnym festynie, a wszystko jest niepoważne, na niby.

Często przychodzi nam obserwować ludzi, którzy myślą pogodę ducha z tym fałszywym sposobem istnienia i patrzenia na świat. Do zuchwalstwa wobec istnienia posuwają się ci, którzy zachęcają do uznawania życia i samego istnienia jako tylko okazji do „dobrej zabawy”. Taka postawa, częsta w kulturze współczesnej, oznacza, że usuwa się z tego życia i świata wymiar tajemnicy i powagi, i zastępuje to wszystko wolą jednostki, jej przyjemnościami i korzyściami. Na pierwszym planie takiej postawy znajduje się sama jednostka z jej potrzebami i pragnieniami, i wolą ich zaspokojenia.

Jednak świat i własne życie człowieka pojęte jako zabawa, zafałszowuje tak życie, jak i samo istnienie. Można powiedzieć, że tak częste we współczesnej kulturze uznawanie „bawmy się” oznacza, że człowiek uwikłany zostaje w konstruowanie ontycznego absurdu, w którym swoje „ja” chce odnosić tylko do samego siebie, istnienie świata zaś sprowadzać do „tu i teraz” i własnych korzyści. Łatwo dostrzec, że od pewnego czasu mamy do czynienia z wyraźną ekspansją takiej zabawy w naszej kulturze. Powszechność zabawy oznacza odpowiedź na to, że świat się zmienia tak szybko, że musimy się dużo i szybko uczyć. Nie mogąc jednak często za tym nadążyć, uczyniliśmy z zabawy istotę naszego istnienia. Zdziecinniliśmy nie dlatego, że nie wyrażamy zgody na obecny świat, lecz dlatego, że nie możemy już nadążyć z uczeniem się nowego świata. W myśli indyjskiej odnaleźć można, że przyczyną powstania świata była zabawa, *lila*. Człowiek zaczyna właśnie zabawę traktować jako sposób oczekiwania na nowy świat, ale zapomina, że ze śmiechu można też umrzeć, jak stało się ze stoikiem Chryzypem.

Od czasów nowożytnych człowiek próbuje właśnie tak, w sobie samym, znaleźć miarę człowieka: zrozumieć siebie na podstawie siebie, odcinając się od szerszego sensu i perspektywy, i tym samym przemieniając się w abstrakcyjną istotę, która chce zabawowo przeżyć swoje istnienie. Zakłada w ten sposób, że jest podmiotem autonomicznym, który do określenia siebie jako człowieka nie potrzebuje niczego i nikogo więcej, jak tylko siebie, zaś wypełnianie człowieczeństwa nie jest niczym innym niż realizacją swojej woli. W tym przeświadczeniu nowożytność przygotowała nas i świat do zabawy. W sytuacji tej podkreśla się nie tylko to, że jednostka może i musi samodzielnie rozwiązać swoje problemy, ale sugeruje też, że owa „samość” jest tożsama z człowieczeństwem w ogóle, zaś „droga do człowieka” prowadzi przez odizolowanie

i odróżnianie się od innej jednostki. Rezultatem takich założeń jest walka o samodzielność i niezależność, i ograniczanie bytu człowieka. Traci on konieczność innego zaangażowania w „sprawy świata” jak tylko realizacja swoich zamiarów i celów, i ukrywa przed sobą odpowiedzialność za cały świat i wszystko, co się w nim znajduje. Odpowiedzialność za innych ustaje, wydaje się, że każdy powinien tylko troszczyć się o siebie, gdyż tam właśnie w „samości” i w zabawie jest ukryty człowiek.

Utożsamienie człowieka z „bawiącym się indywiduum” zawsze oznaczało, że nie potrzebuje on do swego bytu i rozwoju bodźców społecznych, jest samowystarczalny i może też samodzielnie decydować o swoim rozwoju. Wydawało się, że nie tylko owo „Ja” nie zawiera odniesienia do „kogoś innego”, ale również i to, że Inny jest przeszkodą i ograniczeniem, a sam świat tylko miejscem do zabawy. Taka idea ma też i szerszy kontekst. Postawa taka sugeruje, że wybory dokonywane przez jednostkę, życie przez nią wybierane i realizowane, nie mają żadnego wpływu ani na wybory innych, ani też nie kształtują warunków do takich wyborów. Rzeczywistość, świat nie jest ujmowany na podstawie wspólnie dzielonych znaczeń, lecz wyrasta z egoistycznego ujęcia owego abstrakcyjnego Ja i jego zabawy. Taki indywidualizm nie tylko zatem pozostawia człowieka samotnym, wskazując, że człowiek jest sam i nie może na nic i nikogo liczyć, ale przede wszystkim odbiera sens relacji, życia zbiorowego i współdziałania dla dobra innych. Źródło człowieka i człowieczeństwa widzi on w nim samym. Oddalamy się w ten sposób od świata, od innych, gubimy fundamentalne wartości, a pozostaje – tak często dzisiaj powtarzane – „bawmy się”.

Oddalenie od świata widoczne jest przy takiej postawie w swoistym ograniczaniu rzeczywistości. Im częściej szukające zabawy Ja jest utożsamiane z człowiekiem, tym częściej wydaje się też, że świat ogranicza się wyłącznie do rzeczy i przedmiotów, którymi mamy/możemy władać i zarządzać. Pojawia się on i istnieje tylko w sferze przedmiotowej, zaś stosunek podmiotu-przedmiotu wyznacza typową relację człowieka względem świata. Uprzedmiotowienie staje się podstawową kategorią świata, zaś znamieniem czasów jest brak innych doświadczeń. Ubóstwo doświadczeń i konsumpcjonizm są tylko tego konsekwencją. To samo dzieje się w relacji z Innym, drugim człowiekiem. Indywidualistyczna koncepcja człowieka, który często mówi „bawmy się”, i w której utożsamia się on z „samością”, a człowieczeństwo widzi w realizacji jednostkowego interesu i zabawy, w sposób niebezpieczny fałszuje te

relacje. Inny nie należy już do wewnętrznej struktury sensu tak rozumianego człowieka. Sprowadzony jest on do konkurenta w walce o świat, jest często tylko posiadaczem „nienawistnego spojrzenia” (jak mówił J. P. Sartre), w którym jednostka traci siebie i nic nie zyskuje w zamian. Wszyscy traktują siebie jako współzawodników i konkurentów w walce o siebie i możliwość zabawy. Stawianie siebie w pozycji nadrzędnej i uzurpowanie sobie atrybutów „boskości” rodzi też postawy roszczeniowe wobec innych i świata. Wydaje się, że im więcej zabawy, tym bardziej Inny jest zagrożeniem, jego istnienie zaś i spotkanie z nim, zawsze pojawia się w kontekście ucisku i zniewolenia, od których trzeba się uwolnić sprowadzając relacje z Innym do minimum. Tym minimum jest właśnie zabawa. Ujawnia się jakaś niezdolność jednostki do troszczenia się o innych, brak zainteresowania cudzym losem oraz między-ludzkiego zrozumienia. Świat staje się tylko światem zabawy.

Fenomenologia człowieka pogodnego duchem

*„już się nie spieszę
nie pędzę
nie biegnę
żyję wolniej
spokojniej
bez tępa
nie dlatego
że nie mam się do czego spieszyć
po prostu wiem
że i tak nie zdążę”.*
(Dorota Jaworska, „Już się nie spieszę”)

Pogoda ducha nie jest zabawą sobą, drugim człowiekiem, samym istnieniem. Życie – wbrew postawie zabawy – jest sprawą bardzo poważną, istnienie zaś wymaga od nas stałej aktywności i czujności, gdyż podstawową jego własnością jest to, że stale się zmienia i nigdy nie pozostaje takie samo. Dlatego cierpliwe trwanie w nadziei i w pokorze, a nie postawa „bawmy się” prowadzi do stanu „pogody ducha”. Człowiek całkowicie dojrzały, który znajduje oparcie w samym sobie a jednocześnie tak bardzo kocha życie, że z całą powagą traktuje świat cały, drugiego człowieka i jego sprawy, staje się zdolny do takiego istnienia, w którym w skończoności odkrywa nieskończoność. Pisał ks. F. Sawicki: „Człowiek może i powinien poświęcać światu swoją uwagę, nie powinien tylko pozostawać przy tym, co skończone i czasowe, ale

powinien starać się uczyć rozumienia tego, co w nim wieczne i nieskończone”¹. Co to znaczy jednak „być człowiekiem pogodnego ducha”?

Propagowana przez stoików, sceptyków i cyników ataraksja oznaczała wewnętrzną spokój człowieka, którego żadne wydarzenia nie są w stanie zakłócić. Dziś termin ten budzi podejrzliwość z powodu częstego łączenia tego pojęcia z „lekkoduchem”, który traci powagę samej egzystencji, aby bawić się i „być na luzie”: jest naiwnym poczciwcem, który nie zna życia, ludzi i prawdziwego istnienia. Taki lekkoduch wydaje się zyskiwać spokój za cenę obojętności na cały świat. Jednak pomyłki utożsamienia tych postaw nie wolno popełniać: lekkoduch i człowiek pogodnego ducha nie mają ze sobą nic wspólnego. Analiza semantyczna przy tym ostatnim na pierwszy plan wysuwa „równowagę” (pogoda) w jakimś „najwyższym wymiarze” (ducha). I nie chodzi tu nawet o „wielkość ducha”, lecz ukierunkowanie na duchową energię. Naukowa wiedza nie stanowi w tym wymiarze wcale jakiegoś większego bogactwa ducha. Wiedza ta może się jednak przyczynić do tego, że łatwiej człowiekowi osiągnąć „pogodę ducha”. Dlatego potrzebna jest fenomenologia człowieka pogodnego duchem, jako próba ukazania tego, w jaki sposób postawa taka przejawia się w codzienności życia. I jak przejawia się ona u naszego Jubilata.

Stworzyć portret człowieka pogodnego duchem nie jest łatwo. Ataraksja, spokój i pogoda ducha oznacza pewien stan, który może stać się udziałem profesora-uczonego, jeśli poszukiwana przez niego wiedza i podejmowane aktywności poznawcze włączone zostają w formowanie siebie samego. Ale stan ten oznacza też wewnętrzną gotowość do niespełnionej jeszcze aktywności. Człowiek taki do swej aktywności nie potrzebuje bodźców zewnętrznych, lecz wymaga mocnego osadzenia w zewnętrznej i wewnętrznej rzeczywistości. We wszystkim, co czynimy, ujawniamy nasz podstawowy stosunek do życia i samego istnienia. Ten stosunek możemy w syntetycznym skrócie określić jako trojaki zaangażowanie człowieka. Jest to zaangażowanie i postawa wobec życia, drugiego człowieka i samego istnienia. Człowiek charakteryzujący się spokojem i pogodą ducha potrafi wszystkie te działania łączyć w jedną całość. Dlatego też portret człowieka pogodnego duchem wymaga naświetlenia jego stosunku do tych trzech obszarów: postawy wobec życia, relacji z drugim człowiekiem i z samym istnieniem.

¹ Ks. F. Sawicki, *Ideal osobowości*, tłum. T. Kupś, Toruń 2009, s. 90.

Pogoda ducha i życie. Michael Montaigne podkreślał często, że w życiu główną zasadą musi być nauczenie się oczekiwania wszystkiego, co najgorsze, a gdy to nadejdzie, to należy zdobyć umiejętność mężnego znoszenia wszystkich ciosów losu. Jednak pogoda ducha sprzeczna jest z tą zasadą. Człowiek, który nauczy się takiego oczekiwania, nigdy nie zdobędzie pogody ducha, co najwyżej posiada dobrą umiejętność przetrwania. Nigdy nie osiągniemy stanu spokoju, jeśli nie nauczymy się mówić „tak” życiu i istnieniu. Wydaje się, że wszystko wzywa nas do takiej odpowiedzi afirmatywnej, w której aktywnie zareaguje się na wyzwania życia. Wbrew częstym złudzeniom współczesnego człowieka więcej w naszym życiu bezsilności w relacjach ze światem, niż mocy i siły. Jednak ta bezsilność nie może być powodem zanegowania afirmacji życia. Człowiek pogody ducha nigdy nie wyzbywa się takiego potwierdzenia. Taka afirmacja życia oznacza, że jest on w stanie twórczo reagować na jego wyzwania. Ale ma ona jeszcze jedną właściwość, którą łatwo dostrzec u człowieka charakteryzującego się pogodą ducha. Uniemożliwia ona wycofanie się z życia, zamknięcie w sobie i odmowę udziału w istnieniu. Wiele nieistotnych spraw nie zauważa on w poszczególnych napotkanych okolicznościach i zajęciach. Czyni tak nie dlatego jednak, że jest „na nie ślepy”, lecz dlatego, że nie wnoszą one niczego istotnego do życia. Surowy i szorstki sposób bycia stoi w sprzeczności z pogodą ducha. Za to życzliwość i szacunek do życia znajdują w nim bardzo mocny wyraz.

Pogoda ducha i drugi człowiek. Istnieją co prawda jednostki, którym wydaje się, że drugi człowiek jest przeszkodą w osiągnięciu spokoju i pogody ducha. Najczęściej zbyt późno przekonują się, że nie mieli racji. Człowiek bowiem nie czerpie duchowego bogactwa z siebie samego, lecz z zewnątrz. Największym źródłem tego bogactwa jest drugi człowiek. Dlatego też – jak pisze Seneka - „Nie powinienesz ani upodabniać się do złych tylko dlatego, że jest ich tak dużo, ani stawać się wrogiem wielu ludzi tylko dlatego, że są niepodobni do ciebie”². Człowiek pogodnego ducha doskonale wie, że nie jest sam, lecz obok i z drugim człowiekiem.

Współczesna kultura coraz dosadniej przekonuje, że nie istnieje świat, w którym zawsze moglibyśmy czuć się „u siebie”. Drugi człowiek jest bowiem włączony w nasze własne bycie, stając się niekiedy warunkiem naszej tożsamości i stanowiąc swoistą jedność ontologiczną. Impuls do takiego spojrzenia na Innych szedł od strony

² Seneka, *Listy moralne do Lucyliusza*, tłum. W. Kornatowski, Warszawa 1989, s.. 46.

filozofii, która wskazywała na to, że samoświadomość „Ja” nie ma pierwszeństwa przed świadomością innych. Odwrotnie, odkrycie świadomości Innych prowadzi do świadomości Ja. Dojrzewanie tej postawy oznaczało konieczność zamiany „nienawistnego spojrzenia”, w którym Drugi był zawsze zagrożeniem, w postawę rozumienia, w której stawał się on niezbędną częścią świata. „Innego” można i trzeba zrozumieć. „Żeby drugi naprawdę był drugim – stwierdza M. Merleau-Ponty – nie wystarczy i nie może być tak, żeby był jakimś dopustem, stałą groźbą absolutnego odwrócenia /.../ zdolnym zmiażdżyć mnie spojrzeniem w proch mojego świata; natomiast musi być tak i wystarczy, żeby miał możliwość wybicia mnie z mego zasklepienia”³. Ludzie, którzy charakteryzują się pogodą ducha wszystko to doskonale dostrzegają. Jeden człowiek musi wiedzieć – mówił W. Dilthey – czego chce drugi. Tak powstają elementarne formy rozumienia. Taka elementarna forma rozumienia to objaśnienie sobie uzewnętrznienia drugiego człowieka. Inny, Drugi, przestaje być tym, kto „zagroża”, od którego należy się izolować i przed którym należy się bronić, lecz staje się tym, który „wzywa do zrozumienia” i na to wezwanie musimy odpowiedzieć. Chęć (czy też konieczność) podjęcia takiego rozumienia wskazuje na konieczność przezwyciężenia tradycyjnej dychotomii podmiot-przedmiot, w której Drugi był „obiektem” obserwowanym z zewnątrz. Rozumienie Drugiego oznacza zatem skierowanie do Kogoś, kogo spotykam osobiście, poza jakimkolwiek zapośredniczeniem społecznym. Rozumienie staje się tu służebne wobec osób. Rozumieć Drugiego oznacza odkrycie „u siebie” konieczności zwrócenia się ku niemu, aby „być sobą”. Tu właśnie Drugi zaczyna być rozumiany jako ten, który odsłania mnie dla mnie samego. Niezwykle dosadnie mówi o tym Gadamer: „Należy starać się zrozumieć innego, co oznacza, że trzeba być nastawionym na to, że samemu jest się w błędzie. Dopiero wtedy następuje rozumienie”⁴. Wszystko to oznacza, że człowiek „pogodnego ducha” jest otwarty na drugiego człowieka. Czyni to nie tylko ze względu na niego, ale również ze względu na siebie samego. Życząc dobra drugiej osobie człowiek taki reprezentuje postawę, którą Gabriel Marcel określał pojęciem: „pozwolić drugiemu być”.

³ Por.: M. Merleau-Ponty, *Widzialne i niewidzialne. Nieusuwalność bytu*, tłum. J. Migasiński, w: J. Migasiński, *Merleau-Ponty*, Warszawa 1995, s. 179.

⁴ Por. H.-G. Gadamer, *Romantyzm, hermeneutyka, dekonstrukcja*, tłum. P. Dehnel, w: tenże, *Język i rozumienie*, wybór, przekład i posłowie P. Dehnel i B. Sierocka, Warszawa 2003, s. 151.

Pogoda ducha i istnienie. Nie można osiągnąć stanu pogody ducha bez namysłu nad istnieniem, światem. Współczesny człowiek często lęka się tego namysłu, i zamiast niego próbuje tylko „porządkować świat”. Mając skłonność do takiego porządkowania rzeczywistości, człowiek czyni to jednak najprostszą metodą: świat sprowadza do przydatności (korzyści) a jednocześnie go ogranicza (zamyka). Oczywiście jest, że łatwiej wtedy porządkować, gdy wyklucza się z niego innych i inaczej myślących, a jednocześnie świat ten zamyka i ogranicza. Jednak takie unikanie namysłu nad istnieniem i zadowolenie się „światem uporządkowanym” nie wprowadza wcale spokoju. Odwrotnie. Czyniąc tak umieszczamy siebie w świecie zamkniętym, jednopłaszczyznowym i płaskim, w którym wcześniej czy później będzie nam „zbyt ciasno”. Jednocześnie jest to rzeczywistość zawsze „rozpoznana”, w której wszystko już „wiadomo” i nie trzeba podejmować wysiłku poszukiwań. W ten sposób nasze spojrzenie na świat oznacza zawsze jego zamykanie w przestrzeni możliwości. Myślimy często, że rzeczywistość jest tym, czym jest dzisiaj, teraz, dla nas, i niczym więcej nie jest i być nie może. Jednak samo porządkowanie świata nie daje pogody ducha, gdyż razem z nim podąża jego „zamknięcie”. Nikt nie może mieć jednak pogody ducha w zamkniętym świecie.

Cywilizacja techniczna, która stwarza tylko pozór otwartego świata, w rzeczywistości rodzi niepokój. Człowiek nie czuje się dobrze, jeśli potrafi tylko materialnie iść dalej i zdobywać inne światy, a w swym istnieniu pozostaje zamknięty. Uwolnienie się od takiego odbioru staje się najważniejszym zadaniem naszego życia. Musimy nauczyć się porządkować bez wykluczania i ograniczania, za to z uznaniem, że świat jest „jeszcze czymś innym” i ciągle ujawnia nieznanne i ukryte obszary. Słowem: musimy otwierać siebie i świat. Uwolnić się od „ograniczania i zamykania” to znaczy sprawić, aby w naszym odbiorze świata schematyzm naszych pojęć, sądów i rozumowań, został zastąpiony otwartością i dynamizmem. Świat to zawsze jeszcze więcej niż się sądzi, jeszcze inaczej niż się przypuszcza. Nic w nim nie jest skończone, wypełnione, spełnione.

Człowiek pogody ducha przekreśla ten stan zamknięcia i wyłączenia. Porządkowanie rzeczywistości przez wykluczanie i ograniczanie jest zawsze naszym wyborem, a nie koniecznością. Człowiek pogodnego ducha żyje zawsze w świecie otwartym. Skutecznie otwiera on rzeczywistość ku nowym możliwościom i nowym

światom, ukazując „świat jeszcze inny” i czyni to nie tylko dla siebie, lecz również dla innych. Pogoda ducha uniemożliwia zanurzenie się w materialności świata i otwiera świat nieznanymi możliwościami. Życie bowiem – jak mówił Hermann Hesse – „winno być transcendowaniem, wstępowaniem ze stopnia na stopień, przechodzeniem i porzucaniem pewnej przestrzeni na rzecz innej – jak w muzyce: określony temat i tempo zostają podjęte, spełnione i porzucone, bez znużenia, zaspania z niezmiennym zaangażowaniem, w pełni teraźniejszości”⁵.

Nauka o polityce i pogoda ducha. Nasz Jubilat swój „los uczonego” związał z naukami o polityce. Może się wydawać, że zajmowanie się tymi naukami nie tylko nie może utrzymać pogody ducha, lecz odwrotnie, łatwo ją zniszczy. Jeśli bowiem przyglądamy się współczesnym politykom, to z łatwością stan ten utracić, widząc w tych działaniach wiele nieprawości, a przeżycie z tym związane może zmienić dogłębnie sposób widzenia świata. To wszystko jest jednak pozorem, „grą polityków na użytek mas”. Kto naprawdę rozumie politykę ten wie, że prawdziwa polityka nie jest w stanie zniszczyć pogody ducha. Nie trzeba długo dowodzić, że polityczna mądrość, polityczny osąd, czy też polityczny geniusz nie wyrasta wcale z ducha nauki, nie jest efektem uczonego i teoretycznego uogólniania. Istnieje co prawda „nauka o polityce”, czy też „filozofia polityki”, ale wszyscy doskonale wiedzą, że polityk może się bez nich znakomicie obejść, gdyż wcale nie poznanie „praw rządzących polityką”, ani też „wiedza o naturze rzeczy politycznych”, lecz „zmysł polityczny” określa jego działania. Pisał przed laty Isaiah Berlin: „Tym, co czyni polityków, podobnie jak kierowców samochodów, skutecznymi, jest fakt, że nie rozumują oni w kategoriach ogólnych – co oznacza, że nie zadają sobie najpierw pytania, w czym dana sytuacja przypomina inne sytuacje, które wystąpiły na przestrzeni dziejów, lub w czym jest od nich różna. /.../ Umiejętnością, którą się im przypisuje, jest zrozumienie specyfiki konkretnego ruchu, konkretnej jednostki czy stanu rzeczy, atmosfery, konkretnej kombinacji czynników ekonomicznych, politycznych, personalnych; my zaś nie jesteśmy skłonni sądzić, by owej umiejętności można się było po prostu nauczyć”⁶. Polityka nie jest zatem rozpoznaniem i poszukiwaniem „własności ogólnych” zjawisk i faktów politycznych, lecz jakimś bezpośrednim wglądem każdorazowo w konkretną rzeczywistość.

⁵ H. Hesse, *Im dojrzałsi, tym młodszy. Refleksje i wiersze o starości*, tłum. A. Kryczyńska, Warszawa 2000, s. 73.

⁶ I. Berlin, *Osąd polityczny*, w: tenże, *Zmysł rzeczywistości. Studia z historii idei*, tłum. M. Filipczuk, Poznań 2002, s. 75.

Od polityka wymaga się zatem talentu, a nie uczoneści, wyczucia, a nie znajomości, zwrócenie uwagi na to, co konkretne, a nie to, co ogólne. Mogą oni wzbudzać śmiech swoją posturą (jak Napoleon), nie mieć ukończonych szkół (jak plantator Waszyngton), czy też „mijać się z moralnością” (jak kardynał Richelieu). Wszystko to jednak nie odbiera im doniosłości w sferze politycznej, jeśli naprawdę są politykami.

Jeśli zatem ktoś głęboko wniknie w istotę polityki, to zajmowanie się nią nie jest w stanie zburzyć pogody ducha, lecz odwrotnie, jeszcze bardziej ją utwierdza. A tym bardziej ją utwierdza szczegółowy obszar zainteresowania naszego Jubilat. Jest nią samorządowość, która niezwykle dosadnie wskazuje na proces twórczego współdziałania i negocjacji. Słowem: badać procesy samorządowe to również samemu uczyć się otwartości i odpowiedzialności.

Spotkanie z drugim człowiekiem jest zawsze wydarzeniem metafizycznym, w którym ważą się losy świata. Współczesna filozofia dialogu/filozofia spotkania z tego wydarzenia uczyniła istotę bycia. Szczególne są jednak spotkania z człowiekiem, o którym można powiedzieć, że charakteryzuje się on „pogodą ducha”. A taki jest właśnie nasz dostojny Jubilat: życzliwy dla każdego i otwarty na innych. W takim spotkaniu nie ma możliwości, aby przybywający z nim nie nabrał otuchy, nie ożywił się, nie poprawił sobie nastroju. Nawet przypadkowe spotkania nie są obojętne. Życzymy Jubilatowi, aby powiększał i pomnażał nieskończoną sieć związków i spotkań, przynosząc w nich pogodę ducha.

Plurimos annos Drogi Alfredzie!

Marek Szulakiewicz